



Dlaczego czcimy Dzień Imienin Marszałka Piłsudskiego?

Wiele, wiele lat temu, kiedy nikogo z Was jeszcze na świecie nie było, Józef Piłsudski już z narażeniem życia pracował dla Polski. A była to rzecz trudna i niebezpieczna, bo wtedy, choć byli Polacy, Polski jakby nie było. Wicie, że przez 123 lata pozostawała ona w niewoli u swych chciwych i złych sąsiadów, którzy wyteżali wszystkie siły, aby z polskiej ziemi uczynić kraj rosyjski lub niemiecki. Było wtedy bardzo smutno i ciężko Polakom na świecie. Było tak źle, że sami Polacy tracili wszelką nadzieję.

Ale znaleźli się i tacy ludzie, którzy w żaden sposób nie mogli pogodzić się z tą straszną rzeczywistością niewoli i za wszelką cenę pragnęli zmiany. Nie szczydzili sił, ani zdrowia, narażali siebie i swoich najbliższych na srogie prześladowanie, aby Polskę oswobodzić.

Lecz wszystkie te usiłowania kończyły się klęską i znowu wątpienie wstępowało w serca ludzkie. Modlono się o zmianę, ale nie wiedziano ba, nie wyobrażano sobie, aby mogła ona nastąpić.

Józef Piłsudski nie tracił wiary tej ani na chwilę. Rozumiał on jednak dobrze, że do oswobodzenia Polski prowadzi tylko jedna droga — to jest utworzenie polskiej siły zbrojnej.

Ale jak to zrobić?

Prześladowany za pracę niepodległościową, uciekać musiał do Galicji. Tam zaczął tworzyć wojsko polskie, tak zwanych „Strzelców“.

Gdy wybuchła wielka wojna, ruszył z nimi do Królestwa Polskiego, aby bić się z najgroźniejszym wrogiem Polski — Rosją.

Jakiej trzeba było szalonej odwagi, aby się na to zdecydować: w 170 ludzi wypowiedzieć wojnę Rosji wtedy, kiedy całe prawie społeczeństwo polskie patrzyło na to z przerażeniem i niewiarą!

I przez 4 lata Piłsudski ze swoimi strzelcami walczył nieugięcie o Polskę.

Niemcy zamknęli go wreszcie do więzienia w Magdeburgu, ale i tam ani na chwilę nie przestawał myśleć nad zdobyciem niepodległości.

11-go listopada 1918 r. wrócił do Polski, stanął na czele nowoutworzonego rządu i rozpoczęła się trudna i żmudna praca nad organizowaniem państwa. Całe tomy trzebaby było spisać, ile trudności musiał zwyciężyć, ile ciężkiej pracy wykonać, żeby rodzaje się państwo od grożącej mu na każdym kroku klęski uchronić.

A więc czcimy Go za znoyny trud i pełną poświęcenia pracę wyzwoleniową i za uratowanie honoru całego Narodu Polskiego.

JÓZEF PIŁSUDSKI

Te Jego głębokie oczy,
co blask od słońca brały,
w przyszłość daleką patrzyły,
w niej wolną Polskę widziały.
Ona Mu śniła się nocą,
w mroźniej, sybirskiej głuszy,
a serce poiała mocą,
hartu dawała duszy.
Gdy wraca, znów się zabiera
do tajnej, cichej pracy;
aż z woli, twardej jak granit,
wyrosli polscy junacy.
Orlą swą myślą ich wystął
w bojowych prób płomienie:
z tych czynów zmartwychpowstało
wolne dziś pokolenie.

W. Dalewska

Wymarsz oddziałów polskich na wojnę

Piłsudski chodził przed frontem z głową pochyloną, założywszy jedną rękę za plecy, a druga za burtę kubraka na pierśsiach. Zapadał zmierzch; woddali Kraków rozblysłą wieczornemi ogniami. Młode twarze strzelców bieleły równym rzędem, jak wykute z marmuru, nad ścianą wyprostowanych nieruchomo ciał, oczy ich jeno śledziły pilnie za najmniejszym ruchem Naczelnika.

Wtem on podszedł do grupki oficerów, stojących na uboczu i wydał krótki rozkaz. Jeden z oficerów wystąpił z papierem w rękę i wzruszonym głosem zaczął z imienia i nazwiska wywoływać żołnierzy z rozmaitych plutonów. Wychodzili w pełnym rynsztunku z bronią na ramieniu i stawali w osobnym ordynku.

Cisza zaległa na całym placu tak głęboka, że słyhać było przyspieszone oddechy tych, co czekali na swoją kolej. Ze stu trzynastu, zapisanych na szkołę podoficerską strzelców, wywołano czterdziestu ośmiu, do nich przylączyła się równym krokiem cała kolumna przybyłych drużyniaków w liczbie siedemdziesięciu czterech.

— A my?... — ozwały się nieśmiało głosy w pozostałych szeregach.

— Baczość!..

Umilkły głosy.

— Żołnierze!... — zaczął nagle surowym głosem. — Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestapicie granice rosyjskiego zaboru jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć o oswobodzenie Ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie naznaczam szarż.

Żaden głos nie odezwał się w ciemnych szeregach żołnierzy, ale w zebranej nieopodal publiczności głośno płakano.

Wieczorem, gdy żołnierze jeszcze nie pokładli się spać i korzystając z ciepła i cudnego blasku księżycowej nocy, błędzili tłumnie po podwórzu... w bramie ukazał się jakiś żołnierz na siwym koniu. Był to Belina-Prażmowski, który wracał z wy-

wiadów z Królestwa i prowadził stamtąd pięć koni — zaczątek naszej przyszłej jazdy oraz wiadomość, że przez śmiały manewr siedmiu uzbrojonych strzelców udało się powstrzymać mobilizację w okolicach Jędrzejowa, wypędzić stamtąd władze rosyjskie i straż pograniczną. W nocy z czwartego na piątego sierpnia znowu zaalarmowano kadrówkę, ale i tym razem nie posła jeszcze do Królestwa. Wyprawiono ją na ćwiczenia na Błonie.

Dopiero szóstego sierpnia o godzinie trzeciej rano wyruszyła kadrówka z Krakowa pod dowództwem Tadeusza Kasprzyckiego. Poprzedzał ją maluchny patrol konny z ośmiu ludzi, z których trzech niosło siodła na sobie, gdyż konie mieli dostać dopiero zagranicą.

Piłsudski odprowadził oddział za miasto, które okrążono cicho i niepostrzeżenie. Polecono oddziałom zająć Miechów, ale nikt o tem nie wiedział prócz dowódcy i gdy po dojściu do szosy zamiast na prawo ku granicy zwrócono się chwilowo na lewo, rozpacz i szemranie wybuchło w szeregach. Okrzyk „baczność“ stłumił je wszakże natychmiast, a wkrótce potem zwrot ku granicy wrócił w szeregach wesołość. Pod Słomnikami padły pierwsze strzały — konna szpica strzelała do straży pogranicznej, która znowu wróciła. Moskale cofnęli się pośpiesznie, zostawiając jednego zabitego i jednego rannego...

Zaczęła się wojna...

*Służmy poczciwej sprawie, a
jako kto może. —*

*Niech ku pożytku dobra
spólnego pomoże*

(Jan Kochanowski)

*Ze słabością łamać uczmy
się zamlodu*

(Adam Mickiewicz)

O tłustym czwartku, o pączkach Do

Domów w mieście
tysiąc dwieście,
a pomiędzy nimi
jest dom jeden,
kafelkami
zdobny zielonemi.
Mieszkają tam
Pączkiewiczze.
Gdy dozorcę spytasz,
to ci powie:
— Trzecie wejście,
na lewo korytarz,
mieszka ci tam
nie królewicz,
ale z żoną swą
Dorotą
imci pan Pączkiewicz.
(Nie wiem, czy ich znacie).
Wychowują oni
Czwartka,
sierotkę po bracie.
Pewnie któryś
zapyta z podziwem:
— Czemu Czwartek
imię ma tak osobliwe?
Otóż, wiedzie,
że sam sobie dogodził,
bo w Tłusty Czwartek
na świat się narodził.
No, i sierocie
dość dobrze się darzy.
Ciotka głaszcze go po głowie.
wciąż mu pączki smaży.
Wujek kocha go, jak syna
i zabiera go do kina.
Raz przed Tłustym
Czwartkiem krótko
stał Czwartuś przed ciotką
z miną pokorniotką.
— Chcesz poprosić
o coś starą ciotkę?
— Droga ciciu,
z wielką prośbą
przed tobą tu stoję,
bo to jutro,
droga ciciu,
imieniny moje,
Niech mi ciocia
nie odmówi
i pozwoli mi
tej wielkiej radości
kolegów
zaprosić tu w gości.

— Dobrze, złotko,
zaproś gości,
ja ci pączków
zrobię po swojemu.
Podziękował
Czwartek cici
i biegnie po śniegu
do swych miłych
koleżanek,
do miłych kolegów.
— Poniedziałku drogi,
przybądź w moje progi.
Potem znowu
prosi Wtorka:
— Proszę cię ogromnie,
nie zapomnij o mnie!
Potem znowu
prosi Środę,
potem jeszcze
Piątek.
I Sobotę:
— Przyjdź, twe przyjście
uraduje
ciotkę mą, Dorotę.
Potem mały Czwartek
poprosił Niedziele.
No i przyszedł
dzień imienin.
Już jest gości wiele.
Nasmażyła ciotka pączków.
A dzieciaki już za stołem
siedzą rzędem długim!
Stawia ciotka
dwa półmichy
i półmisek trzeci.
— Jedzcie, jedzcie,
nie żałujcie sobie,
drogie dzieci.
Ciotka z wujem się raduje.
Nagle wuiek coś zagada
do ciotki Dorotki
i przynosi osobiście
talerz pączków słodkich
— Każde z Was
do domu z sobą
weźmie pączek, zgoda?
Kto najmądrzei ni
rozrządzi,
czeka go nagroda.
No, i goście
wraz z pączkami
wrócili do domu.
Co tu zrobić

Dorotki i o innych ważnych sprawach

z jednym pączkiem
myślą pokryjomy?
Piątek, siedząc,
rozmyślając
dwie i pół godziny,
haps! zjadł pączek,
nie zostawił
ani okruszyny.
A sobota myśli:
— Może jakiś
dobry pomysł
przyjdzie mi
dziś we śnie.
Śpi Sobota
pod kołdrami
i nic nie wie, że
do pączka z koleżanką
sunie myszka jedna.
A Sobota,
jak nie wstanie:
— Co to?!
— Ano myszki zjadły
pączek, Soboto!

A Niedziela położyła pączek na krendensie. Następnego dnia chciała pączki piec i zachowała pączek jako wzór. Poniedziałek ją swój pączek podrzucił do góry. Naraz przyleciał pies, pilnie uważał, kiedy pączek spadnie na ziemię, no, i zjadł go. Wtorek przyniósł ze strychu doniczkę, wsadził tam pączek i podlał go wodą. Chiał, żeby mu urosło drzewo pączkowe, z którego miałby gotowe pączki. Środa biegnie zadumana do starej piekarni.

Nachyla się mała Środa
do piekarki ucha
i w sekrecie coś tam plecie
a piekarka słucha.
Bierze pączek
z Środy rączek
niby od niechcenia,
na bułeczki, makóweczki,
Środzie go wymienia.
Biegnie Środa ulicami.
— Co ja zrobię z bułeczkami?
Któż tam idzie
w zimowej zamieci?
Dwie dziewczeczki sieroteczki
i braciszek trzeci.
A ich szatki
i trzewiczki
bardzo zdarte.

— Pożywcie się,
bułeczkami,
boście tego warte.
Znów są goście
u wujostwa,

słychać gwar i wrzawę. Roztrząsają, rozważają tę pączkową sprawę. Wujek osądził, że najmądrzejsza ze wszystkich jest Środa, i jej należy się nagroda. Ale jaka? — Tyżeś środa, nagrodzona, a co zatem idzie, śliczny „Krasnoludek“ co miesiąc do Ciebie przyjdzie. A ciotka Dorotka kazała Środzie zawołać te biedne sierotki, żeby nie błądziły po ulicach. Każde z nich miało u wujów Pączkiewiczów swoje łóżeczko, eieply kozuszek i sukienkę w kwiatki. Ciotka gładzi je po głowach, wuj kupuje im zabaweczki, laleczki korale, maleńkiemu Józkowi kupił właśnie do spaceru wózek.

No, a ciotka,
żeby dzieciom
swej szczeroci dowieść,
poszła z niemi
na spacer . . .
Tu się kończy powieść!

Hymn narciarzy

Hej! Narty żwawo przypnijcie do nogi,
Narty długie i wyszlizgane jak żmije.
Gdzieś w góry białe zawiodą nas
drogi,
A echo głos nasz w skałach jak piłkę
odbije.
Gwiazdy jeszcze na niebie widać z za
firanek,
Zdążyście przygotować narciarski
rynsztunek.
W szeregu nas zastanie dziś zimowy
ranek,
Nim słońce na nas spojrzysz z obłoków
koronek.
W góry! Z ptakami lecieć na przegony,
Po zboczach kreślić szumnie długie,
białe ślady.
Wiatr w mig twarz osmali na obydwie
strony
I rumieńców nabierze wnet policzek
blady.

Generał Dąbrowski

Któż nie zna mazurka Dąbrowskiego? Któż nie zna pieśni legjonów: „Ieszcze Polska nie zginęła”? Z nutą tych starych pieśni, na dźwięk których serca polskie żywiej biją, związało się na wieczne czasy imię Henryka Dąbrowskiego. Urodzony w Pierzchowicach pod Krakowem, wychowywany był w duchu religijnym i narodowym, pod troskliwym okiem matki i ojca, który w synu swoim widział przyszłego bohatera. Tak też istotnie było. Imię Dąbrowskiego okryło się taką sławą, że wymieniamy go wraz z nazwiskami Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego. Lecz nie jeden z Was, mili Czytelnicy, zapyta: „Cóż takiego zdziałał Henryk Dąbrowski, że go tak bardzo czcimy i imię jego wychwalamy tak głośno?” Otóż zdziałał on bardzo wiele. Walczył za Polskę w ostatniej godzinie jej bytu państwowego, między drugim a trzecim rozbiorem; walczył po trzecim rozbiore aż do 1806 roku, wreszcie walczył pod wodzą Napoleona, tego wielkiego cesarza Francji. Męstwem i odwagą dowiódł Dąbrowski, że walczyć umie i że wyrósł na wielkiego wodza. To też uznając jego zasługi, jako też waleczność legjonów polskich, Napoleon, pokonawszy Prusaków pod Jeną w 1806 roku, oświadcza Dąbrowskiemu, że pragnie wskrziesić Polskę. W tym celu należałoby jednak wywołać w Polsce powstanie. Dąbrowski, ufwszywszy zapowiedź wskrzeszenia ukochanej Ojczyzny, wyrusza natychmiast do Poznania. Wiedząc o celu przybycia wodza, Wielkopolska zaczęła się zbroić gorączkowo. Po utworzeniu odpowiedniej armji, wyruszył Dąbrowski na zdobycie Gdańska, Tczewa i Grudziądza, odkrywając się nową nieśmiertelną sławą. Chcąc wynagrodzić Polaków za ich czyny, Napoleon tworzył dla Polski Wielkie Księstwo Poznańskie, za którego potem miało powstać Królestwo Polskie. Lecz, niestety, nadzieje przysły, bowiem Napoleon został pobity przez Rosjan, a Dąbrowski, odkryty licznymi bliźniami, wrócił do Wielkopolski.

Pod koniec życia przybył do Winnogóry w Wielkopolsce, gdzie dnia 6 czerwca 1818 roku zmarł. Tam też spoczywają zwłoki tego, który wśród ran i mąk, wśród oszczerstw i trudów, zyskał sobie schwałę wiekuistą, dzięki swej niezłomnej i szlachetnej duszy, rycerskiej.

O zwykłym postnym śledziu

Śledzie zna każde dziecko, to też nie będziemy opisywać jego wyglądu. Jest to ryba smaczna i bardzo pożywna, a co ważniejsze — tania, więc mogą kupować ją zarówno bogaci, jak i biedni. Śledzie bowiem są bardzo plenne i ze złożonej przez jedną samiczkę ikry wyląc się może 21.000 do 56.000 narybku, o ile jajeczka nie zostaną pożarte przez inne ryby. To też niesłychane masy śledzi zapelniają ocean Północny, a mianowicie zatoki Grenlandji i Islandji oraz wody otaczające Japonję. Pojawiają się one także w Bałtyku, w kanale La Manche (czytaj — la Mansz) oraz nad wybrzeżami Holandji i Francji.

Śledzie są rybami wędrownymi i gdy przenoszą się z miejsca na miejsca kolumny dochodzą często długości 3—6 mil a szerokości 2 do 3 mil. Łatwo więc obliczyć, jakie z nich obfite połowy mają rybacy.

Wspaniale wygląda płynąca blisko powierzchni morza ławica śledzi, zwłaszczcza w jasną noc, gdy w blasku księżycza grzbiety ich mienia się tęczowymi barwami szafiru, szmaragdu i srebra, a morze wygląda, jakby okrywał je z drogoceńnych kamieni utkany, falisty kobieriec. Szmer, jaki wydają płynące masy ryb, przypomina szmer ulewnego deszczu.

Plon połowu śledzi jest prawie zawsze bardzo obfity. Nieraz rybacy napelniają kilkadziesiąt tysięcy beczek.

Tak wielka ilość ryb łatwo mogłaby się zepsuć, jednakże już w czternastym wieku, rybak hollenderski, nazwiskiem Jerzy Beukel, zapobiegł temu, wymyśliwszy sposób solenia i wędzenia śledzi. Tem się bardzo swej ojczyźnie zasłużył, gdyż Holandja w dużej mierze zawdzięcza swój dobrobyt tej skromnej rybie. Więc imię Beukela wdzięcznie jest wspominać, a w 150 lat po jego śmierci, potężny monarcha Karol V, którego władzy wówczas Holandja podlegała, dla uczczenia pamięci przemyślnego rybaka, przy jego grobie zjadł uroczyście śledzia. Do dziś dnia śledzie holenderskie uchodzą za najlepsze.

Śledzie żywią się łąką rybą, robaczkami, małymi rączkami i rybkami, a nawet pożerają się wzajemnie. Oprócz ludzi głównymi ich wrogami są wieloryby, które mając wąskie gardzielce, mogą polować mniejsze tylko ryby.

Mądry kot

Jeszcze Felek był bardzo mały, kiedy urodził się kot Bielas; chowali się razem, ale kot wyrósł i zmadrzał prędko. Felek zaś długo był mały i radzić sobie nie umiał. Felek lubił bawić się z kotem, ale nigdy krzywdy mu nie robił, każdym kawałeczkiem chleba dzielił się z nim, często gładził jego białe futerko. Za to wszystko Bielas bardzo kochał Felka. Pewnego razu w chłodną noc zimową wszyscy spali w domu snem głębokim. Kotek zwinął się w kłębek na piecu i zasnął zadowolony z ciepła, jakie dawało niezgaszone jeszcze ognisko. Na niebezpieczeństwo części drzwiczki pieca nie były dobrze zamknięte, wiatr wypędzał iskry i stojąca obok kominą miotła zafila się, potem zapaliła, ogień przeniósł się do drzewa, leżącego opodal. Śwąd i jaśność obudziły kota; widocznie pierwszą jego myślą było ochronić Felka od niebezpieczeństwa, bo z przeraźliwym miauczeniem zaczął drapać łapkami drzwi zamknięte, poza którymi w sąsiedniej izbie spał Felek. Gdy nikt nie obudził się na krzyk kota, skakał on do klamki tak długo, aż zdołał nareszcie otworzyć drzwi: wyskoczył do śpiącego Felka, miauczał, liznął i drapał ostrożnie ręce śpiącego, dopóki go nie zbudził. Chłopiec, oprzytomniawszy, spostrzegł ogień i dym, wydobywający się z kominą, rozbudził rodziców, którzy zdołali wkrótce ugasić ogień.

Nadeszła Lusja Miż-Miszynówna

Tak wicher śpiewa

W zimowe zmrzoki,
porą lutową,
śpiewam przeciągle
piosenkę zimową.
Nad śnieżnym polem,
nad nagim lasem,
razem z wronami
przelatam czasem.
Zbieżnym ptaszynom
rozwiem piórka...
Zaskrzypię płotem
koło podwórka.
Huczę w kominie,
wyję w zamieci,
jękiem za oknem
przestraszam dzieci,
A tak dzieci odpowiadają:
Zupełnie inna
nasza piosenka,
bo my siedzimy
koło kominka,
Ciepło się z niego
rozchodzi wkoło,
Dlatego piosenka
nasza wesola.
I ty nie biegaj
ponad polami —
siądź sobie tutaj,
ogrzej się z nami.
A gdy wiatr ciepłą
piosenkę zanuci,
to prędzej wiosna
do nas powróci.

Wesoła fala

Zaraz powiem,
jak to było,
gdyśmy radjo
zobaczyły.
(Bośmy przedtem
we wsi całej
jeszcze radja
nie słuchały).
Przychodzimy
raz do Zosi —
aż tu w kącie
gada cosik.
Podechodzimy
całkiem blisko --
wielkie było
dziwowisko:
Śpiew, muzyka,
potem znów:
„Hallo, hallo,
radjo Lwów!”
I ze wowa,

moi drodzy,
aż tu do nas
głos dochodził!
Z małej skrzynki,
z czarnej tuby,
raz głos cienki,
raz głos gruby.
A takżeśmy
się uśmieły,
aż nas boki
rozbolały!
A na wieczór
dziś do Zosi
wcale nas
nie trzeba prosić.
Więź czekamy, —
kiedy wszędzie —
w każdym domu
radjo będzie,
kiedy zagra muzyka
z każdego głośnika!

Gdzieś z najwyższych gałęzi świerka rozległ się zgrzyt i przenikliwe, przeciągłe syczenie.

Czao-Ra szalała.

Zaciekawiony soból, czując się w niebezpieczeństwie na drzewie, począł szybko zbiegać z gałęzi na gałąź, aby się lepiej przyjrzeć hałaśliwemu natrętowi.

Gdy mały drapieznik siedział już na najniższej gałęzi, zwisającej nad ziemią, i opuściwszy głowę, przyglądał się z coraz większą ciekawością czekającemu psu, sycząc i zgrzytając ostremi ząbkami. Marusz wybrał dogodną chwilę i cisnął drągiem, mierząc w znajdujące się nad sobolem łapy świerka.

Przerażony tym hałasem soból jednym susem zeskokczył na ziemię i, zamierzając wdrapać się na sąsiednie drzewo, szarpnął się, rzucił ją i zaczął się miotać, coraz bardziej wikłając się w niej.

Myśliwy podbiegł i przycisnął mu głowę nartami.

Zdobyc została w jego rekach.

W ten sposób w ciągu kilku dni dzielny łowiec upolował trzy sobole, a czwartego, który, widocznie, zwęszywszy odrazu niebezpieczeństwo, przeskoczył na sąsiednie drzewo, Czao-Ra zapędziła na samotnie stojącą na małej polance suchą jodłę, gdzie kula Marusza zakończyła pościg.

Myśliwi zwykle unikają strzału do soboli, aby nie zniszczyć cennego futerka i nie zmniejszyć jego wartości.

Wypocząwszy przez noc w obozie, Marusz poszedł obejrzeć swoje pułapki.

Zastawił dziesięć sztuk. W pierwszych pięciu nic nie znalazł; w dwóch dobrych „stępicach“ ujrzał schwyte sobole; w jednym potrzasku miotał się drapieznik; dwa ostatnie najdalej potrzaski łowieckie wprawiły myśliwego w zły humor.

Potraski leżały na ziemi.

Łowiec przekonał się, że w obydwóch musiał być sobole. Świadczyły o tem wymownie ślady, kierujące się ku stępicom, lecz nie powracające już. Zdobycy jed-

nak nie znalazł Marusz w żelaznych chwytach.

Cóż się tu stało?

Zaczął się rozglądać uważnie i wkrótce spostrzegł już przysypiane śniegiem ślady, rysia.

Plamisty drapieznik porwał schwyte sobole, pożarł je i porozrzucił potraski. Plamy krwi i strzępki drogowych skórek widniały dokoła.

— Poczekaj-no! — gniewnie mruzczał Marusz. — Ja ciebie nauczę uczciwości, grabieżco tchórzliwy, złodzieju nikczemny!...

Znowu trudził się nad rozmieszczeniem swoich przyrządów, a gdy już praca dochodziła do końca, zaczął padać śnieg.

Padał przez całą noc.

Wierzchołki drzew szumiały i chyliły się, jodły i świerki trzeszczały i skrzypiały. Na otwartych miejscach szalała „purga“, lecz tu, do odstępów leśnych nie zalaływał żaden podmuch wichury.

Tylko zamieć okrywała łapy jodeł białymi, puszystymi narzutami i wysokimi czapami śniegu, zasypywała wszystkie ślady, przesmyki, krzaki i obozowiska myśliwego.

Musiał więc Marusz pozostawać w swoim szalacie, czekać aż śnieg się zleży i skrzepnie, bo narty grzęzły w jego miękkiej warstwie.

Po trzech dniach dopiero mógł znowu zapuścić się do kniei.

Szukał swoich pułapek. Wszystkie były przywalone śniegiem.

Z trudem odnalazł tylko dwie stępice.

Utyskiwał nad stratą sprzętu myśliwskiego, bo mogło się też zdarzyć, jak to często się przytrafia łowcom, że śnieg przykryje pułapki wraz ze schwytaną zdobyczą.

Nie było jednak rady na to.

Spakowawszy swoje rzeczy, Marusz szybko pobiegł na północ.

Z dniem każdym las stawał się niższym i mniej gęstym.

Dalszy ciąg nastąpi